

UCZEN DIABŁA

Premiera w Teatrze Muzyczno-Operowym

Mimo, że sztuka wielkiego Shawa entuzjazmu powszechnego nie wywołała, nie wahałbym się uznać tej premiery w Miejskich Teatrach Dramatycznych za jedno z najwybitniejszych przedstawięń, jakie oglądaliśmy w Warszawie w ubiegłym sezonie i na początku sezonu obecnego.

Tam, gdzie rozlegał się niezdarzy bełkot różnych niedowarzonych „talentów” rodzimych, oczywiście sztuka starego lwa zza Kanału, choćby była istotnie nawet od innych sztuk tego pisarza słabsza, zawsze jeszcze będzie wspaniałym wydarzeniem zarówno artystycznym, jak i intelektualnym.

G. B. Shaw znany jest w całym świecie nie tylko z perfekcji swego rzemiosła dramatopisarskiego, nie tylko z rzadkiego nawet w świecie czolowych intelektualistów świata umysłu, ale ponadto jeszcze i z bezprzykładnej odwagi i bezwzględności, z jaką potrafi nawet własnemu narodowi wytykać błędy, nieprawości, grzechy i obłudę, a co gorsza — jeśli trzeba, to nawet głupotę. Shaw utrwalił w literaturze świata pozycję swojej twórczości dramatopisarskiej właśnie dzięki tej błyskotliwości swego intelektu, właśnie dzięki bezkompromisowości prowadzonej przez siebie walki o oblicze moralne i etyczne człowieka i od tej strony właściwie na twórczość Shawa należy spojrzeć.

„Uczeń diabła”, aczkolwiek mówi się o tej sztuce, że wśród dzieł cudownego kpiarza miejsca pierwszego nie zajmuje, mimo to jest potężnym i niebezpiecznym ładunkiem dynami-

tu pod murszejące fundamenty istniejących nie tylko w ojczyźnie Shawa, ale i w całym świecie stosunków. Stara pani Dudgeon, matka bohatera sztuki, to przecie chodzący symbol przewrotności i zakłamania, to wzywający o pomstę do nieba, falsyfikat moralności i etyki ludzkiej, rozpowszechniony na pewno nie tylko w sro dowisku angielskim. Oczywiście, w tej sekutnicy dużo jest lokalnych cech narodowych z tego okresu dziejów Anglii, w którym rozgrywa się akcja sztuki, znacznie jednak więcej można w postaci tej dostrzec cech nie specjalnie narodowych, lecz ogólnych, powszechnych, ludzkich.

Pewnie, znacznie przyjemniej jest sprawę postawić w ten sposób, że ta zakłamaną dewotka to kwiat moralności angielskiej, że to produkt stosunków, panujących właśnie wśród tego społeczeństwa narodowego. Nie byłaby jednak taka ocena najszlachetniejsza, pomniejszilibyśmy, mimo wszystko w tym wypadku, Shawa, którego twórczość właśnie rozleglejszy, właśnie bardziej ogólnie - ludzki posiada charakter.

Poprzez tę sztukę Shawa przewija się w pewnym stopniu także i problem walki człowieka o wolność. Walka prowadzona jest w danym wypadku przeciw Anglii, prowadzi ją zaś stany amerykańskie, wtedy jeszcze jakby to nazwać, okupowane chyba przez wojska angielskie. Walka, rzecz jasna, jak to walka, równie dobrze rozdzi bohaterów, jak i kanalie. Właściwy bohater sztuki, Ryszard Dudgeon, był raczej takim sobie szlachetnym przestępcą. Pewno przemytnik, omi-

ający na każdym kroku obowiązujące prawa, pewno nie jeden i innego kalibru grzeszek mający na sumieniu, Ryszard Dudgeon, usunięty przez własną rodzinę poza obręb życia rodzinnego, jeszcze za życia ojca wypędzony z ojcowskiego domu, nazywający sam siebie uczniem diabła, w odpowiednim momencie staje się właśnie niemal bohaterem, zdobywając się na poświęcenie swojego życia dla ratowania innego człowieka.

Właśnie ta scena w akcie drugim sztuki, gdy „uczeń diabła”, zostawiony przez szanowanego przez wszystkich mieszkańców miasteczka pastora Andersena na herbatce z piękną panią pastorową, trochę dla ratowania szlachetnego pastora, trochę z nienawiści do Anglików, a trochę dla niebieskich oczu młodej pastorkowej, oddaje się zamiast pastora w ręce żandarmów, właśnie ten moment narodzenia się bohatera, którym staje się dotychczasowy inteligentny wprawdzie, czarujący wprawdzie, ale bądź co bądź prawie rzezimieszek, jest nie chłostą już nawet, ale wprost pogardliwym policzkiem, zadany przez wielkiego moralistę srodowisku maluczkich, przyziemnych, zapobiegliwych, tchórzliwych dorobkiewiczów, dla których świat jest o tyle coś wart, o tyle jest sprawiedliwy i o tyle moralny, o ile mogą robić swe interesiki i powiększać swe majątecki.

Naturalnie, to już rzecz sympatii Shawa do postaci Ryszarda, czy może jeszcze większej sympatii tego nieporównanego kpiarza do paradoksu, że w dalszym rozwoju wypadków każe Ryszardowi stać się z ucznia diabła następcą szlachetnego pastora na jego plebanii, który w tym samym czasie staje się ze świątobliwego, pokornego księżulka, wesolym,

brawurowym, niemal rubasznym przywódcą partyzanckim, zdążającym na czas do Websterbridge, żeby zdjąć dosłownie sznur z szyi skazanego na śmierć Ryszarda Dudgeon i podbić na nowo serce cokolwiek niezdecydowanej w czasie jego przymusowej nieobecności pani pastorkowej.

Mówiąc to wszystko, trudno nie wskazać na cudowną wprost scenę sądu w akcie trzecim, podczas której właściwym sędzią staje się człowiek, który za chwilę stanie pod szubienicą jako skazaniec, a sędziowie w pięknych, błyszczących od złota mundurach, skazujący niewinnego człowieka na śmierć dla tego tylko, żeby odstraszyć innych od buntów, niezależnie od tego, że okazują się bezdenni mi głupcami i nicponiami, stają się właściwie podsądny, na których jeśli nie uczeń diabła wydaje wyrok, to w każdym razie na podstawie jego błyskotliwego i wnikliwego oskarżenia wyrok ten wydaje codziennie widzownia. Oczywiście, należy uważać za koncesję ze strony Shawa na rzecz armii angielskiej postać generala Burgoyne, wysoce inteligentnego człowieka i dżentelmena w każdym calu, mimo słabości charakteru i nieumiejętności przeciwstawienia się opinii własnych podwładnych, głu powatych i nadętych żołdaków, nawet w takiej chwili, kiedy skazują oni bezmyślnie na szubienicę niewinnego człowieka.

W sumie nie podzielałbym zastrzeżeń tych, którzy nie dojrżeli w „Uczniu diabła” specjalnych wartości. Te wartości na pewno są, mimo takich, czy innych pozorów, mimo nawet rzeczywiście istniejącej w niektórych momentach melodramatyczności tej sztuki.

Wykonanie „Ucznia diabła” nie pozostawiało dużo do życzenia. Odpo-

wiedni nastrój stwarzały od razu gu stowne, dobrze pomyślane i starannie wykonane dekoracje Stanisława Cegielskiego.

Dobiesław Damięcki, którego warszawska publiczność dobrze pamięta sprzed wojny, jako już wtedy jednego z czołowych aktorów jego pokolenia, zagrał tytułową rolę Ryszarda Dudgeona bardzo przekonująco. Miał się na scenie jak lew, błyskał, kiedy trzeba było, oczami jak pochodniami i wymyślał sądzącemu go kompletowi tak, że niktby ze znanych nam aktorów lepiej tego nie zrobił. W ogóle rola Ryszarda Dudgeona jest jakby specjalnie napisana dla Damięckiego. Nic więc dziwnego, że odniósł pełny sukces w tej roli.

Drugim bohaterem przedstawienia był Kazimierz Wilamowski, jako pastor i dowódca powstańców Anderson. Według mnie był jednakowo do bry zarówno wtedy, kiedy był potulnym i cichym pastorem, jak i kiedy zaprezentował się jako wojowniczy partyzant.

Dużo liryzmu wniosła do przedstawienia Irena Górska, która grała dość nieprzyjemną rolę pięknej pastorkowej, zakochanej napierw do nie przytomności w swym mężu, a następnie, po pozornej jego ucieczce nad skakującą bohaterstwu Ryszarda Dudgeona. Z niebezpieczeństw tej roli wyszła świetna aktorka zupełnie obronną ręką.

Nie można byłoby, naturalnie, wymarzyć lepszej pani Dudgeon, niż Helena Gruszecka. Jan Dzwonowski jako generał Burgoyne zdobył sobie powszechną sympatię, podobnie jak Władysław Osto-Suski, jako major Swindon powszechną niechęć. Zupełnie do brym, dziarskim sierżantera był młody aktor Tadeusz Samogi.

JAN SZCZAWIEJ.

Gazeta Ludowa z dn. 7/11/40